

31.10.2017

22 Ogólnopolskie Prezentacje Twórczości

I miejsce Magdalena Mankowska

KSIĘŻYCOWA PODRÓŻ

– Daj mi spokój. Chcę spać.

– Otwórz oczy.

Moon, odkąd wymyśliła go i narysowała, zawsze na nią czekał. Opowiadała mu o sobie; słuchał uważnie, odpowiadał i nigdy jej nie ocenił. Nie zawsze poruszali poważne tematy. Częściej wygłupiali się, zaśmiewali do łez; czuła się potem o niebo lepiej.

Teraz trącał ją niecierpliwie i ciągnął za rękaw, jak pies, domagający się spaceru. Uchyliła otwiane powieki. Gdy wyciągnęła niechętnie rękę, pomógł jej dźwignąć się i powiódł ku otwartemu oknu. Jarzyło się konstelacją gwiazd, ich układ wyglądał absurdalnie znajomo.

Dziewczynka w jednej chwili oprzytomniała.

– Czy... czy to jest to, o czym myślę?

Uśmiechnął się, ale nie odpowiedział. Czekał.

– Wielki Wóz?

Skłonił się elegancko, jakby zapraszał ją do tańca:

– Pani pozwoli?

Zabrzmiało to i wyglądało tak komicznie, że parsknęła śmiechem. Przecież była tu z Moonem, niczemu nie powinna się dziwić. Wsiedli do gwiazdzistego pojazdu i ruszyli rzeszście oświetlonym, szerokim traktem w najdziwniejszą z podróży.

Nie miała pojęcia, jak długo lecieli, gdy coś przykuło jej wzrok. Spytała ciekawie, co to i zaraz tego pożałowała.

– Ziemia z perspektywy wieczności.

Zadrżała. Światła Mlecznej Drogi nikły, robiło się coraz ciemniej. Rozejrzała się trwoźliwie. Głos, który znała i kochała, zabrzmiał nienaturalnie obco. Z powodu pustki wokół? Bo wypowiedział tak dziwne słowa? Zwykle rozmawiali o jej marzeniach; nikt inny nie traktował ich poważnie, nawet Paweł i Madzia uważali je za dziwaczne i wygórowane. Ziemia z perspektywy wieczności. Poczwała się z tym okropnie, zupełnie, jakby...

– Czego ty się boisz? – przybrał dawny, ciepły ton.

Sięgnęła, otarła oczy, pomyślała chwilę.

– Jeżeli śmierć oznacza rozstanie, nie chcę umierać.

– Nie obawiaj się, śmierć, to nic strasznego.

– Akurat. Nigdy nie dowiesz się, jak to jest.

– Masz rację, ale próbuję sobie wyobrazić.

– Próbuj dalej, to nic strasznego.

Skrzywił się, wściekły na siebie. Chciał ją przytulić, ale wyrwała się tak energicznie, że pojazd niebezpiecznie tąpnął w powietrzu raz i drugi.

– Cśśśś. Rozumiem twój lęk. Obiecuję, że zawsze będziemy razem.

Razem. To jedno do niej dotarło; obróciła się i wtuliła weń całą sobą. Nie przypuszczała dotąd, że jest tak wysoki. Musiała unieść głowę, by spojrzeć mu prosto w oczy i po raz pierwszy nie potrafiła określić ich koloru. W tej chwili miały... każdy. Akwaria.

– Naprawdę? Nigdy się nie rozstaniemy?

– Nigdy.

Świdrowała go nieustępliwym spojrzeniem, jakie mają tylko dzieci.

– Przyrzekasz?

Nie odpowiedział, bo Wielki Wóz wylądował łagodnie, odbił się kilka razy jak dobrze nadmuchany balon – i znieruchomiał.

– Jak nazywa się to miejsce?

Nikły, dziewczęcy głos rozjarzył się w granatowej ciemności jak błędny ognik - i zgasł.

Moon zakreślił w powietrzu poprzeczną ósemkę, jak dyrygent albo czarodziej.

– Ja nazywam je: Nieskończoność.

Zamyśliła się. Wszystko, co znała, miało swój koniec. Noc, dzień, lato, deszcz, burza, film, książka, każda upiorna seria naświetlań, nawet nadzieja na wyzdrowienie. Do niedawna wszyscy zapewniali, że tak będzie. Aż umarł Paweł. I Madzia. A potem przyszedł doktor, który zawsze opowiadał zabawne historyjki. Tym razem nie miał w zanadrzu żadnej.

– Nieskończoność? Co to oznacza?

Moon kucnął, objął dziewczynkę jednym ramieniem. Drugim zatoczył łuk, jakby odsuwał ciężką, ciemną kotarę. Chyba rzeczywiście tak było.

Zaczerpnęła ze świstem powietrze, wybałuszając, a następnie mrużąc oczy.

– To, co widzisz. Wolność. Światło.

– Cudowne... Czy można tu samemu trafić?

Mrugnęła do niej.

– Jasne.

Postąpiła mu krzywy, niepewny uśmiech.

– A niby jak?

Zabawnie przebiegł dwoma palcami po jej dłoni.

– Trzeba po prostu przejść.

Przetknęła głośno.

Światło. Przejdziemy teraz do kolejnej serii naświetlań, Bąbelku. Torsje. Zawroty głowy. Ból, przed którym nie ma dokąd uciec, choć bardzo się chce. Odruchowo dotknęła tysej głowy, jakby chciała ją ostłonić.

– Czy... czy to bardzo boli? N-no wiesz, to przejście.

Nie przypominał chłopca, którego narysowała i pokochała. Wydawał się starszy, piękniejszy. Biła zeń aura ciepła. Tajemnicy.

– Boli tylko to, przed czym niepotrzebnie uciekamy.

Wolność. Smakowała to słowo i skojarzyła z powolnym opadaniem ciężkich powiek. Albo wielkich, soczystych płatków śniegu. Choinka.

I wtedy je zauważyła. Tylko że w pobliżu nie było żadnej choinki. Bombki nieruchomo wisały w powietrzu. Same.

– Mmm? Nie poznajesz?

– Planety? Gwiazdy?

Duże, średnie, małe... Wiedziała, że poruszają się i obracają tak szybko, iż ludzki wzrok nie jest w stanie tego zarejestrować. Ruch. Wyciągnęła ramię; swobodnie poszybowało w górę, jak zanurzone pod wodą.

Nim trafiła do hospicjum, lubiła kąpać się wieczorem w jeziorze. Leżąc na wznak i obserwując gwiazdy, marzyła o wyprawie w kosmos.

Właśnie dotarło do niej, że zabawnie spowolnione gesty przypominają sposób poruszania się kosmonautów. Było ich coraz więcej. Dziewczynki, chłopcy, mężczyźni, kobiety, niemowlęta, starcy, biali, kolorowi – każdy inny. A przecież kosmonauci wyglądają jednakowo: noszą kombinezony. Tu nikt nie miał na sobie kombinezonu, żadnego ubrania – nic. A jednak nie wydawali się nadzy. Konie, psy, koty, motyle, ptaki, para słoń, łosie, tygrys, świnię, nosorożec, żyrafa, krowy, stado antylop, ryby. Zaśmiała się. Ryby w kosmosie? A właściwie czemu nie, skoro i ona tu trafiła? Jediną wspólną cechą istot, których wciąż przybywało, było to, że uśmiechały się do niej. Kochały ją.

Niechętnie odwróciła głowę i dziwnie wyostrojony wzrok ponownie padł na Ziemię, o której zdążyła zapomnieć. Wszystko, co tam czekało – to szpitalne łóżko, strach, ból, przewody i rurki, do których wczoraj ją podłączono.

– *Czy muszę wracać? Jest mi dobrze. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek tak się czułam. No wiesz, taka szczęśliwa i... i zdrowa.*

Zaśmiał się cicho:

– *Widzisz? Mówiłem, że to nic strasznego.*